

## Kolejowe okoliczności transatlantyckiego toastu

Czytanie w przedziale kolejowym na razie jeszcze się mieści w normie społecznej akceptacji, o ile dotyczy gazety lub kolorowego periodyku. Czytanie książki – już nieco trudniej. Pisanie natomiast bywa zajęciem wręcz podejrzanym i ryzykownym. A jeśli dodać, że chodzi o pisanie wiersza, to autor nakryty na tym karygodnym procederze może zostać sprawcą przynajmniej skandalu, o ile nie sprowokuje swym czynem agresji współpodróżnych w formie pobicia, publicznego napiętnowania, pociągnięcia za hamulec bezpieczeństwa, defenestracji, a nawet wezwania kierownika pociągu.

Pomny tych zagrożeń podjąłem podróż koleją żelazną na konferencję naukową w Katowicach, zorganizowaną przez Uniwersytet Śląski z okazji jubileuszu Stanisława Barańczaka, mojego nauczyciela z dawnego czasu studiów poznańskich. Ponieważ wiadomo już było, iż sam Zaoceaniczny Jubilat nie dotrze na polonistyczną dysputę, a tym bardziej na poprzedzającą ją biesiadę piwną i sześćdziesiąte urodziny obchodzić będzie zgodnie ze swym zwyczajem „z daleka i na palcach” (co wyznał kiedyś w jednym wierszu, a teraz posłużyło na motto konferencji), należało się jakoś zatroszczyć przynajmniej o zminimalizowanie owego braku – wszak, jak mawiali Rzymianie, *per absentia* nie musi znaczyć od razu *per abstinentia*. Toteż jałem klecić w Jego imieniu poetycki toast, a czasu nań miałem sporo, bo choć mój pociąg sunął żwawo nie na zachód, lecz na południe, z czego żadna bonifikata temporalna wyniknąć nie mogła, pozostało ponad pięć godzin – po odjęciu dwóch przeznaczonych na podróżny posiłek i skracanie referatu. Wyruszyłem bowiem o 14.05 czasu środkowoeuropejskiego a lądowanie w stolicy Górnego Śląska przewidziano dopiero na 21.24.

Okoliczności aktu tworzenia nie należały jednak do sprzyjających i jeśli stymulowały jakoś ten proces, to chyba głównie przez ograniczenia i niewygodę

przestrzeni. Nieuzbrojony w laptop nie mogłem z pokładu TLK „Barbakan” nawiązać kontaktu elektronicznego z Newtonville w stanie Massachusetts ni z żadną inną miejsciną na ziemskim padole, toteż pożądane konsultacje z Jubilatem tą drogą musiałem włożyć między bajki, a nawiązać kontakt metodą nieco zawodną, za jaką uważam telepatię, co niestety może kiedyś posłużyć złośliwym krytykom do podważenia Barańczakowego autorstwa. Wiadomo, że wędrówkę myśli przez Atlantyk utrudniają i prądy morskie, i wiatry, nie wspominając już okrętów, samotnych żeglarzy, korsarzy, rozbitków i ławic rekinów. Dochodzi jeszcze różnica czasu – wschodnie wybrzeże Ameryki jest opóźnione wobec Polski (choć niestety tylko zegarowo!) o całe 6 godzin, a więc prawie tyle, ile starczyć musiało na pisanie wiersza. Efektem tego opóźnienia (którego tym razem sam pociąg nie osiągnął) być musiały zaburzenia rytmu dnia i nocy, występujące nie tylko w równoleżnikowej podróży lotniczej, ale i w kreowanym w opisanych warunkach świecie przedstawionym. Kiedy u nas świta, tam wybija dopiero północ, gdy u nas bije północ, tam ledwo zmierzcha, co powoduje nie lada zamieszanie w realiach świata poetyckiego i zmiany kierunków konstruowanych w wierszu metafor. Aby te dysonanse częściowo zniwelować, uruchomiłem pamięć intertekstualną, parafrazując to i owo z istniejących już wierszy Autora *Dziennika porannego*, choć odwrócić musiałem perspektywę swej apostrofy, kierując ją niby bumerang do Autora *Widokówki z tego świata* na Jego zaatlantycki adres.

Do niewygód przedziału klasy drugiej należy losowo wybrane środowisko socjalne – nie przez to, że rozgadane, lecz dlatego, że ciekawskie, toteż musiałem rosnący płód myśli chronić okładką notatnika, bo choć regulamin kolei zabraniający spożywania alkoholu nic nie mówi o pisaniu toastów, dla dobra dzieła należało zachować daleko posuniętą ostrożność. A znalazł się w mym przypadkowym sąsiedztwie podpity wesolek, który zabijał pasażerów swą elokwentną uprzejmością (budzącą nawet podziw, że młodzież, choć pijana, potrafi być sympatyczna i grzeczna) i parokrotnie namolnie oferował

odstąpienie swego miejsca jednej dziewczynie z korytarza, spotykając się z jej upartą odmową. Powstający wiersz był na razie niezagrożony, chyba aż po Wrocław, ale w końcu młodzian ów (co jak twierdził, właśnie opuścił armię), po wyczerpaniu zasobów kurtuazji, zwrócił się do mnie:

– Przepraszam, a można spytać, co Pan tak pisze?

W żadnym razie nie mogłem rzec mu prawdy – dla bezpieczeństwa własnego i rodzącego się tekstu. Wymyśliłem więc szybką maskującą ripostę:

– Podanie o węgiel, bo słyszałem, że na Śląsku jeszcze go trochę mają... Łgarstwo okazało się skuteczne, dowodząc, że w konwersacji liczy się żart, a nie prawdopodobieństwo. Tym sposobem uratowałem toast, który już zaczął się niebezpiecznie rymować ze stanem fizjologiczno-kolokwialnym rozrywkowo nastawionego współpasażera. Przed Opolem dopisałem piątą zwrotkę. Pociąg dotarł do Katowic punktualnie.

Prapremiera toastu nastąpiła już w warunkach do jego treści adekwatnych – w pubie Longman przy ulicy Gliwickiej. Drugie wykonanie odbyło się nazajutrz przed oficjalnym audytorium jako otwarcie obrad barańczakologicznej konferencji, w poniedziałek 13 listopada, a więc w dzień urodzin jej Bohatera. Było to około 10.15 rano, co w przekładzie na czas amerykański oznacza 4.00 w nocy, a więc porę do wznoszenia toastów albo za wczesną, albo zbyt późną. Dlatego organizator profesor Dariusz Pawelec zadbał, by przesłać ów toast e-mailem Jubilatowi o czasie bardziej stosownym.

Dopiero wersja elektroniczna – dzięki zastosowanej opcji „centruj” – ujawniła, że strofy prócz tego, że rymem udają dźwięk szkła a za pomocą przerzutni naśladują prozodię czkawki, układają się jeszcze w komplet kieliszków – wprawdzie wybrakowany, bo liczący tylko pięć sztuk, z których każda ma inny kształt. Dociekliwym interpretatorom pozostawiam trud obliczania ilości alkoholu spożywanego po pięciokrotnie wznoszonym toaście, jeśli za miarę kieliszka (pomimo polimorficzności serwisu) przyjąć zawsze „setkę”. Mniej dociekliwi zadowolą się konstatacją, iż poezja lingwistyczna

spotkała się tu z poezją konkretną. Ale skandal, drzemiący w rękopisie, eksplodował dopiero na ekranie komputera, powodując zresztą niejaki trudności celne podczas transportu przez Ocean.

*Szczecin–Katowice, 13 listopada 2006 r.*

**Stanisław Barańczak**

*Do dna*

Do dna wypijmy, aż do samego dna,  
wszak żyjem raz, a już nie tacy młodzi;  
do dna bezdechu, bezsenności, która  
zastygnie krwią nocy i ścierpnie jak skóra  
Ziemi w strefie ciszy, co nocy niesie szary zgon  
i  
studzi  
ten pożar płuc poprzez krtań.

Do dna wieczoru wypijmy kielich dnia  
urodzin Tego, który je obchodzi  
z daleka i na palcach, nie tych które  
przez komputera biegną klawiaturę  
w strefie czasu, gdzie jeszcze trwa bezdenna noc  
by  
zbudzić  
ten dzień, co jest jak dźwięk szkła.

Do dna i pierwszego po niedzieli dnia,  
do godzin, które od jutra wstecz do dziś  
przechodzić muszą na powierzchnię świtu  
przez rany południków w Teraz i Tu,  
w strefę euro, gdzie ptak już śpiewem jak poranny dzwon  
nas  
tu dziś  
dławi niby szron i mgła.

Do dna, co w głębię z tygodniowych mielizn  
uchodzi światłem Zachodu na Wschodzie  
codzienną skargą, co denna i niema  
porannie brzmi "szkoda, że Cię tu nie ma"  
w tej tu szarej strefie, gdzie ciągle tak zapada noc  
na  
ludzi,  
którzy umarli w Twych snach.

Do dna w glebie skóry i przez dno szczelin  
ust, do wątroby moja pieśń uchodzi  
cało, by odbić echem czkawki donos,  
że jednak jakoś stąd nas wyniesiono  
ze strefy ryzyka, na ciężkim kacu pod lekki koc  
po  
wódzi  
na tajnej jawy drugie dna.